

REDAKTOR JERZY GIEDROYC

Krzysztof Lisowski rozmawia z Kazimierzem
Orłosiem

Redaktor Jerzy Giedroyc to fragment przygotowywanej książki *Rozmowy o pisaniu i ludziach* – autorstwa Krzysztofa Lisowskiego i Kazimierza Orłosa.

Krzysztof Lisowski: *Skąd, kiedy i od kogo dowiedziałeś się, że istnieje coś takiego jak „Kultura” paryska, redaktor Giedroyc, Biblioteka „Kultury”?*

Kazimierz Orłós: Myślę, że w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Przedtem zajęty byłem maturą, studiami, pierwszą pracą. W domu rozmawiało się głównie o emigracji londyńskiej. O tym, że brat mamy – Cat Mackiewicz – został premierem rządu emigracyjnego. Przychodziły listy od przyjaciół i rodziny, ale głównie z Anglii. Dopiero po powrocie wuja Stanisława do kraju, w maju 1956 roku, zobaczyłem po raz pierwszy egzemplarze „Kultury”. Na pewno w jego mieszkaniu, na Starym Mieście, na ulicy Jezuickiej. Być może także jakieś książki Biblioteki „Kultury”.

Na pewno jesienią tamtego roku, podczas rewolucji węgierskiej i naszego października, odwiedzaliśmy częściej wuja Stanisława. Trochę później – to mogło być już zimą w 1957 roku – pamiętam wieczorną wizytę, kiedy czytał nam (było wtedy kilka osób) swoją sztukę teatralną, ale też – właśnie z „Kultury” – wiersze poetów węgierskich w przekładzie Czesława Miłosza. Tych, którzy po zdławieniu powstania przez sowiecką armię znaleźli się na Zachodzie. Te wiersze,

w znakomitym przekładzie Miłosza, wyrażały dramat, ból i rozpacz Węgrów. Nie wiem, czy Miłosz znał węgierski i czy tłumaczył z węgierskiego – może raczej z angielskiego lub francuskiego? Ale te wiersze mnie poruszały. Szczególnie jeden, którego potem nauczyłem się na pamięć: *Bogu mojego serca oddaję ciebie, Ojczyzno, boję się ołowianych kopalń Syberii i nieba koloru tęczy nad Syberią, tam za mną, jak wielkie iluminacje miasta wybuchają w płomieniach...* Tak się zaczynał.

– *A kiedy pomyślałeś, aby związać się z wydawcą polskim, ale działającym na emigracji, poza zasięgiem krajowej cenzury, a więc niezależnym od tutejszej władzy?*

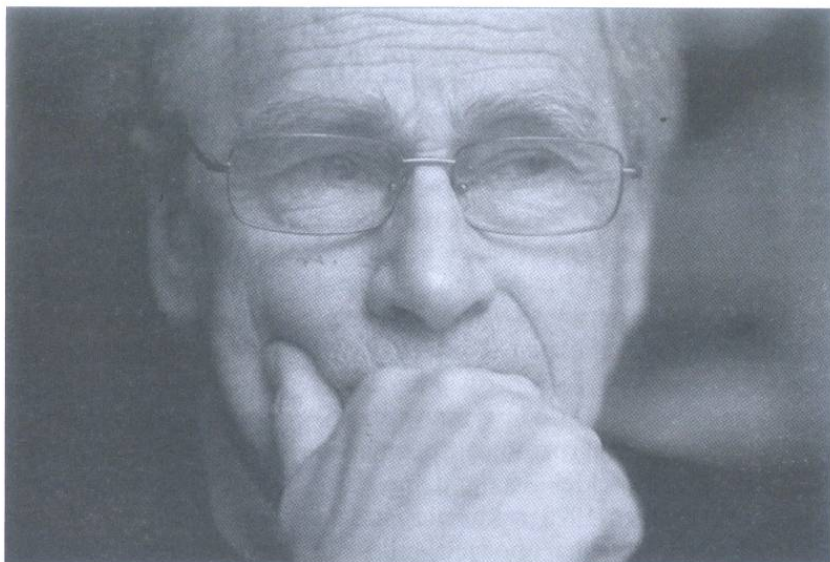
– Przez cały rok 1971, kiedy pracowałem w radiowej Trójce na Myśliwieckiej, jednocześnie pisałem swoją pierwszą powieść. Pamiętam, że brałem urlopy tygodniowe, a nawet dwutygodniowe, i jeździłem na Mazury, do znajomej leśniczówki „Sosnówka” koło miejscowości Piecki. Tam, etapami, pisałem tę powieść, mając jeszcze w oczach Bieszczady po powrocie z Soliny. Pamiętając dobrze stosunki miejscowe, rządy klik, partyjnych kacyków – korupcję, nepotyzm, a wszystko kosztem zwykłych obywateli. Więc to był ciemny obraz prowincji lat

sześćdziesiątych w PRL-u. Ale ja liczyłem, że ta powieść zostanie wydana, ponieważ opisywałem czasy Gomułki. Po wypadkach grudniowych w 1970 roku przyszła jednak pewna odwilż – rządziła nowa ekipa, był Gierek.

Miałem podpisaną umowę z „Czytelnikiem”, liczyłem więc na odwilż i na łagodne potraktowanie przez cenzurę faktu, że negatywnym bohaterem powieści jest sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR. Stał na czele kliky, która rządziła miastem i powiatem. No i się przeliczyłem. *Cudowna melina* z tego właśnie powodu została zablokowana przez cenzurę. Proponowano, abym zamienił głównych bohaterów – sekretarza zrobił pozytywnym, a przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej, który walczył z kliką, postacią negatywną. No, ale to byłaby nieprawda. Wszystkim rządziła partia i jej ludzie. I to był właśnie ten moment, kiedy po licznych próbach wydania książki w kraju, zdecydowałem się wydać we Francji – w Instytucie Literackim. I związać się z tamtym wydawcą na długie lata, na ten czas, kiedy we własnym kraju będę emigrantem wewnętrznym. *Cudowna melina* została wydana we Francji w 1973 roku.

Ja to wszystko dość dokładnie opisałem w książce *Historia „Cudownej meliny”*, wydanej również przez Instytut Literacki w 1987 roku. Ponieważ pytasz mnie o moment podjęcia decyzji związania się z wydawcą emigracyjnym, to była na pewno tamta chwila, kiedy – mając już ostateczną odmowę „Czytelnika” – zrozumiałem, że oni mojej książki nie wydadzą.

– Wydanie w 1973 roku w Paryżu twojej powieści było ważnym faktem historii walki o wolność słowa w powojennej Polsce.



Kazimierz Orłoś. Fot. Krzysztof Dubiel

Odnutowano to w różnych dziennikach i zbiorach korespondencji najważniejszych pisarzy i intelektualistów, m.in. przez Jana Józefa Szczepańskiego w czwartym tomie jego Dzienników czy w korespondencji Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza. W liście z kwietnia 1973 napisał: Orłoś zachował się niesłychanie odważnie.

– Bardzo to poważnie nazwałeś, zaliczając do „walki o wolność słowa w powojennej Polsce”! Ale ja wtedy tak o tym nie myślałem. Po prostu odmowa wydania w kraju mojej pierwszej powieści ogromnie mnie zirytowała. Tym bardziej że pisałem prawdę, że to było oparte na autopsji, doświadczeniu. Nie wymyślałem niczego ani nie pisałem o sprawach nieistotnych. W *Cudownej melinie* był autentyczny obraz prowincjonalnej Polski lat sześćdziesiątych. Wydając u Giedroycia, chciałem przede wszystkim zaprotestować przeciwko cenzurze. Zwrócić uwagę na fakt, że pisanie prawdy o polskiej rzeczywistości, do czego, jak na ironię, nawoływano wtedy w prasie literackiej, jest niemożliwe. Myślę – cofając się do lat sześćdziesiątych – że „walką o wolność słowa” był na pewno „List 64”. Także proces „taterników” – młodych ludzi, którzy zapłacili więzieniem za przemycanie do kraju „Kultury” paryskiej. Proces Janusza Szpotańskiego, którego też skazano na więzienie. Ja w więzieniu nie siedziałem.

– Dziwnie musiałeś się czuć, gdy zobaczyłeś pierwszy egzemplarz swojej książki na biurku warszawskiego esbeka podczas przesłuchania?

– Tak, takie chwile zapadają w pamięć. Tamten ranek, dzień. To był właśnie jeden z tych momentów w życiu, kiedy wszystko się zmienia. Poprzedniego dnia wieczorem zadzwonił mój teść i powiedział, że miał telefon od kuzyna z Paryża, który widział *Cudowną melinę* na wystawie polskiej księgarni. I to był sygnał dla esbeków (z podsłuchu telefonicznego), że ja już wiem i dłużej nie ma na co czekać. O siódmej rano zadzwonili, zapraszając na rozmowę do gmachu MSW na Rakowieckiej – na godzinę dziewiątą. Był marzec 1973 roku, nie istniała jeszcze zorganizowana opozycja, nikt nie wiedział, jak w takich wypadkach należy się zachować. Zaproszenie przez telefon nie spełniało wymogów formalnych – dostarczenia pisemnego „zaproszenia”, podania w jakiej sprawie, itp. Więc ja oczywiście poszedłem. To przesłuchanie opisałem dokładnie – m.in. w *Dziejach człowieka piszącego* – tu tylko powiem krótko: przede wszystkim chcieli się dowiedzieć, jak maszynopis trafił na Zachód i czy wydano książkę za moją wiedzą i zgodą. Ponieważ sam wywiozłem *Melinę* (lećąc samolotem do Genewy po odbiór Nagrody Kościelskich) i sam decydowałem o wydaniu – moje odpowiedzi były proste. Jak pamiętam, sporo mówiłem esbekom o cenzurze, o tym, że uniemożliwia pisanie prawdy o rzeczywistości.

Rozmowa trwała dwie godziny lub dłużej. Nie wyniosłem z niej jakiegos szczególnie przykrego wrażenia. Miała charakter raczej strofowania człowieka, który lekkomyślnie związał się z wrogiem Polsce Ludowej ośrodkiem za granicą. Z tym, który mnie przesłuchiwał, porozmawialiśmy też o Bieszczadach – był tam w 1947 roku i brał udział w walkach „z bandami UPA”, jak powiedział. Drugi esbek – pewno ważniejszy – przysłuchiwał się tylko rozmowie. Poczestowano mnie herbatą, którą przyniosła starsza kobieta, pewno sprzątaczką. No i siedząc tam, miałem świadomość, że już wszystko – nieodwołalnie – zmienia się w moim życiu. A swoją książkę, w szarej okładce, zobaczyłem rzeczywiście po raz pierwszy w czasie tamtego przesłu-

chania. Zaraz na początku rozmowy esbek wyjął z szuflady i rzucił na biurko przede mną. Obserwowali moją reakcję – co powiem w tym momencie? Może liczyli, że się zachnę: „Nic o tym nie wiem, wydali bez mojej zgody”! Prawdopodobnie nie byli pewni. Więc wtedy im wyjaśniłem, że to moja decyzja. Ale też pamiętam wzruszenie, jakie przeżyłem, widząc szarą okładkę książki z serii Biblioteki „Kultury” – z moim nazwiskiem i tytułem *Cudowna melina*.

– Już przy innej okazji pisałeś, że represje wobec ciebie nie były tak poważne jak wobec podobnych przypadków w krajach „naszego obozu”, ale chyba w pierwszych miesiącach po wyrzuceniu z pracy spotykała cię seria poważnych „nieprzyjemności”. Zakaz druku, zakaz realizacji filmu Kiesłowskiego według twojego opowiadania i wspólnego scenariusza, próba usunięcia twej żony z pracy, zdjęcie twej sztuki z afisza w Teatrze Polskim we Wrocławiu. To nie zapowiadało jasnej przyszłości.

– Rzeczywiście było to nieprzyjemne. Ale jeśli porównać z tym, co działo się z ludźmi w krajach ościennych, którzy – tak jak ja – próbowali publikować na Zachodzie, to zobaczymy ogromną różnicę. W Sowietach wsadzano do łagrów i szpitali psychiatrycznych, w najlepszym wypadku wyrzucano z kraju, skazując na przymusową emigrację. W NRD tajna policja STASI dręczyła niepokornych w szczególny sposób. To samo było w Czechosłowacji. Mój znajomy – tłumacz – po roku '68 przez wiele lat pracował fizycznie, jako drwał w lasach. Mnie jednak nie zamknięto w więzieniu, mogłem pracować jako referent prawny, pisać do szuflady, jeździć samochodem po Polsce. Poza tym w tych pierwszych miesiącach – licząc od marca – wyrzucano mnie z pracy etapami. Z Polskiego Radia – z Redakcji Słuchowisk od razu, z zakazem przychodzenia już od następnego dnia. Z tym że wypowiedzenie dali trzymiesięczne, więc pensję dostawałem do czerwca. Ale ja jeszcze miałem pół etatu w znanym wówczas piśmie „Literatura”, w dziale reportażu tego tygodnika. Otóż dwaj naczelni redaktorzy – Gustaw Gottesman i Jerzy Putrament – zachowali się wobec mnie bardzo przyzwoicie. Usiłowali mnie chronić przed wyrzuceniem. Do obu oczywiście poszedłem z wia-

domością, że *Melina* wyszła we Francji i że spodziewam się kłopotów. Gottesman powiedział, abym rzadziej przychodził do redakcji, za to częściej jeździł w teren, zbierając materiały do reportaży. Natomiast Putrament, kiedy powiedziałem, że w Wolnej Europie czytają *Melinę* w odcinkach, pochwalił się, że jego powieść *Małowierni* też czytali. Mówił powoli, z wileńskim akcentem i odnosił się do mnie życzliwie, pewno wiedząc, że jestem siostrzeńcem Cata. Ale on już wtedy, w latach siedemdziesiątych, po udarze, który przeszedł, nie był aktywny partyjnie ani politycznie. „Literaturę” raczej firmował nazwiskiem – pismo prowadził Gottesman. Chronili mnie tak bodajże do lipca. Potem kolejno dostawali polecenia z Biura Prasy KC PZPR: wpierw usunięcia nazwiska ze stopki redakcyjnej, potem niedrukowania żadnego tekstu, także pod pseudonimem (ukazały się dwa moje reportaże podpisane Maciej Jordan) i w końcu wypowiedzenia umowy o pracę.

– *Odwiedziłeś dwukrotnie siedzibę „Kultury” w podparyskim Maisons-Laffitte. Czym te spotkania się różniły?*

– Po raz pierwszy byłem w roku 1972. Do Paryża pojechałem pociągiem z Genewy – zatrzymałem się u znajomych. Stamtąd zadzwoniłem do „Kultury” i umówiłem się na spotkanie. Był ciepły, słoneczny dzień. Na peronie podmiejskiej kolejki w Maisons-Laffitte czekał na mnie Zygmunt Hertz. On był szalenie sympatyczny, bezpośredni – szliśmy kawałek od stacji do willi „Kultury”, rozmawiając. Nie pamiętam już, czy to było przed południem czy po, w każdym razie mam w oczach to pierwsze spotkanie – też jeden z najważniejszych momentów w życiu. Dłuższa, jakby zasadnicza rozmowa miała miejsce na tarasie lub w ogrodzie, gdzie wokół stolika siedziało kilka osób – była kawa i atmosfera dla mnie niezwykła. Ja, obywatel PRL-u, kraju tłamszonego przez Związek Radziecki, znalazłem się nagle jakby na skrawku wolnej Polski, wśród wolnych ludzi. Rozmawiali ze mną głównie Giedroyc i Herling-Grudziński, ale byli tam na pewno Zygmunt Hertz i pani Zofia Hertzowa. Być może brat Redaktora – Henryk. Mam wrażenie, że dla nich moja wizyta – młodego autora z kraju – i propozycja wydania zatrzy-

manej przez cenzurę książki, była pewnym wydarzeniem. Mimo że maszynopisu nie przywiozłem, a tylko wyjaśniłem, że jest już na Zachodzie – u profesora Kallenbacha w Genewie (prezesa Fundacji Kościelskich) i że on, na mój sygnał, *Melinę*... prześle. To w czasie tej rozmowy Giedroyc zapytał mnie, czy liczę się z konsekwencjami? A ja odpowiedziałem, że tak.

Drugi raz byłem w Maisons-Laffitte po długim upływie czasu, bo w roku 1988. Czyli po szesnastu latach. Już w innej epoce, w momencie, kiedy powoli reżimy komunistyczne w krajach za żelazną kurtyną chyliły się do upadku. Po raz pierwszy wtedy, od momentu wydania *Cudownej meliny*, dostałem paszport i wyjechałem na Zachód. Byłem w Londynie, w Paryżu i w Monachium. W Paryżu zatrzymałem się u naszego solńskiego przyjaciela Michała Ziębińskiego. Od niego zadzwoniłem do „Kultury” i umówiłem się na wieczorną wizytę. Była jesień, deszczowy dzień, a ja nie miałem parasola. Na stacji nikt na mnie nie czekał – Zygmunt Hertz zmarł kilka lat wcześniej. Dotarłem do willi „Kultury” zmoknięty i zmęczony, po całym dniu wędrówek po Paryżu. W gabinecie czekał na mnie Jerzy Giedroyc. Pamiętam, że wtedy to była taka dłuższa rozmowa z Redaktorem. Już zmienionym, po upływie lat, na co zwróciłem uwagę. Bardzo dokładnie wypytywał mnie o sytuację w kraju, czy rzeczywiście władza pójdzie na kompromis, jakie są nastroje społeczne, jaka jest rola opozycji itd. Byłem nastawiony optymistycznie – już po rozmowach z Wiesławem Uchańskim dyrektorem „Iskier” w sprawie wydania *Meliny* w kraju. O czym też powiedziałem Redaktorowi, prosząc o zgodę na wydanie, bo *copyright* miała „Kultura”. Na co oczywiście wyraził zgodę.

To wtedy ostatni raz widziałem Redaktora. Tamtego deszczowego wieczoru w Maisons-Laffitte, kiedy odprowadzał mnie do furki. Szedł powoli, podpierając się laską. Chyba następnego dnia wyjechałem z Paryża do Monachium.

– *Ale twoja współpraca z Redaktorem nie ograniczała się do publikacji jednej powieści. Potem ukazało się Trzecie kłamstwo, następnie Historia „Cudownej meliny”, a i drukowa-*

leś przecież w miesięczniku „Kultura” pojedyncze opowiadania.

– Tak, to były te trzy książki i kilka opowiadań. W „Kulturze” wydrukowałem nowelę *Śmierć cygańskiego króla*, która potem znalazła się w pierwszej bodajże mojej książce wydanej, jeśli pamiętasz, przez WL – w 1996 roku, czyli w *Niebieskim szklarzu*. Także kilka krótszych opowiadań, które – jako autor – uważam za znaczące w moim dorobku. Np. katyńskie – *Drugie wrota w las*, okupacyjne *Pamięć*, czy – jak zarzucano mi – wyjątkowo brutalne *Zimna Elka*.

Ale też była publicystyka. Bodajże jesienią 1994 roku Redaktor zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie zorganizowałbym dyskusji związanej z artykułem profesora o. Józefa Marii Bocheńskiego *Co to znaczy być Polakiem?* Ten artykuł ukazał się w „Kulturze” wiosną ’93 roku i – jak mi się zdaje – dla Giedroycia był bardzo ważny. Także w związku z tym, co działo się wówczas w kraju – jak Polacy odnajdywali się w nowej sytuacji historycznej po upadku PRL-u. Jakie są perspektywy przed Polską – jaki historyczny „model” będzie wybrany. Krótko powiem, że profesor Bocheński rozróżniał świadomość narodową Polaków podstawową i pełną. Tę podstawową mieli ludzie niewykształceni, prości, a wyrażały ją słowa *Roty*: *Nie rzucim ziemi skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy*. Pełną świadomość narodową mieli ludzie wykształceni, inteligencja, elity intelektualne. Ci, którym losy kraju, historia, przyszłość – i takie pojęcia, jak „racja stanu” – nie były obojętne. Profesor opisał też dwa modele życia w naszym kraju – znane z historii – związany z Polską jagiellońską model otwarty, tolerancyjny i wielonarodowościowy. I model saski – Polski zaściankowej, zamkniętej, wrogiej dla innowierców i obcych.

Ponieważ pracowałem wiele lat na prowincji, diagnoza profesora Bocheńskiego wydała mi się niezwykle trafna. My, warszawska inteligencja, ludzie opozycji demokratycznej, żyliśmy w zupełnie innym świecie i innymi sprawami, niż mieszkańcy wsi bieszczadzkich lub tych wokół Piotrkowa Trybunalskiego. Dla tak zwanych prostych ludzi, żyjących poza wielkimi miastami, nasza walka z cenzurą, listy otwarte do władz, w których protestowa-

liśmy np. przeciwko zmianom w Konstytucji PRL-u – to wszystko były sprawy abstrakcyjne lub nieistotne. Na pewno było przywiązanie do ziemi, do religii, do obyczajów, ale przede wszystkim liczyło się życie codzienne, pokonywanie tych wszystkich trudności z zaopatrzeniem, ze społeczną niesprawiedliwością, korupcją urzędników, samowolą władzy itd. Razem z Andrzejem Mietkowskim, ówczesnym szefem Filii Rozgłośni Wolna Europa w Warszawie, którego Redaktor także prosił o pomoc, zorganizowaliśmy taką dyskusję. Została wyemitowana przez RWE w listopadzie 1993 roku, a w pierwszym numerze „Kultury” w 1994 roku opublikowana w całości. Wzięli w niej udział, oprócz mnie, jako prowadzącego: Aleksander Małachowski, Włodzimierz Bolecki, Tomasz Łubieński, Andrzej Więckowski i Kazimierz Wójcicki. Dziś, kiedy po kilku latach rządów prawicy, „model saski” tak bardzo zdominował życie w naszym kraju, tamta dyskusja wydała mi się ważna – nadal aktualna i poruszająca istotne problemy. Zainteresowanych odsyłam zatem do pierwszego podwójnego numeru „Kultury” z 1994 roku.

– Znalazłem w moim księgozbiore *Historię... z miłą dedykacją od ciebie podpisaną „Warszawa, Targi Książki, 18 maja 1996”* – to tyle albo trochę dłużej trwa nasza znajomość? Kawał czasu!

– Tak, to już ponad ćwierć wieku! A na Targach podpisywałem pewno wydane przez twoje Wydawnictwo moje cztery nowele – *Niebieskiego szklarza*. Później byłeś przecież redaktorem wszystkich moich opowiadań i powieści. Do ostatniej – wznowionego *Trzeciego kłamstwa*. Za tę wieloletnią naszą współpracę mogę być tylko wdzięczny i dziękować.

– Oczywiście propaganda PRL-owska, podobna dzisiejszej, oskarżała ciebie i innych, że „bierzesz od nich dolary”, że zarabiasz pieniądze od wroga, więc jesteś niewdzięcznikiem (wobec władzy) i wrogiem ustroju. A przecież wiem, że honoraria „Kultury” były mocno symboliczne – sam drukowałem tam wiersze, bodaj trzykrotnie. A i tak te symboliczne honoraria ktoś musiał przywieźć, dostarczyć do Polski, to nie był przelew elektroniczny jak dziś, więc raczej trudno według tych „docho-

dów" było planować codzienne życie, zapewniać byt rodzinie i sobie?

– No tak, honoraria płacone przez „Kulturę” nie były wysokie. Ale ja raz dostałem rzeczywiście wysokie za przekład *Cudownej meliny* na rosyjski i francuski. Emigranci rosyjscy – dysydenci, którzy znaleźli się na Zachodzie, wydawali w Paryżu pismo „Kontinent” – taką swoją „Kulturę”. Redaktorem naczelnym był Władimir Maksymow, a jedną z redaktorek poetka Natalia Gorbaniewska. Jak wiesz, to jedna z kilku osób protestujących na Placu Czerwonym w ’68 roku przeciwko inwazji na Czechosłowację. Warto dziś mówić o wszystkich niesłuchanie odważnych Rosjanach, którzy wtedy nie bali się protestować, a dziś walczą z dyktaturą Putina. Otóż Gorbaniewska przetłumaczyła *Melinę*... i oni ją drukowali w czterech kolejnych numerach „Kontinentu”, a potem jeszcze moja powieść wyszła w wersji francuskiej pisma. Ponieważ byli finansowani przez niemiecki koncern Springer, który wspierał ruchy dysydenckie za żelazną kurtyną, więc chcieli wypłacić takie większe honorarium, które moja żona Teresa szczęśliwie przywiozła. Był 1977 rok, dostała paszport i na zaproszenie swego wuja spędziła wtedy kilka dni w Paryżu. No i to nam zapewniło spokojną egzystencję na dłużej.

Ten esbecki zarzut, że opozycja demokratyczna żyje za dolary wypłacane przez CIA i inne wrogie ośrodki na Zachodzie, był także ulubionym argumentem propagandy PRL-owskiej, szkalującej opozycję. To się skończyło po upadku PRL-u, ale jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ktoś to esbeckie kłamstwo powtórzył i napisał, że wydanie *Meliny*... u Giedroycia „opłaciło mi się”. Bo jako grafoman zyskałem rozgłos, a za dolary, których notowania wtedy były bardzo wysokie, żyłem w luksusie.

– Na ostatnich stronach twjej autobiografii reprodukowany jest krótki list Giedroycia do ciebie z 1989 roku, w którym pisze: Wyobrażam sobie jaką Pan musi mieć satysfakcję z obecnego powodzenia po tych latach nieobecności na rynku. To ostatni list od Redaktora? Ile lat trwał zakaz publikacji twoich utworów w kraju?

– Nie, to nie jest ostatni list. Był reakcją na opisaną przeze mnie promocję *Meliny*...

wydanej przez „Iskry”. Mam kilkanaście listów Redaktora, wszystkie – ze zrozumiałych względów – już z datami po roku ’89. Zawsze pisał krótko, zawiadamiając np. o tym, kiedy przesłany przeze mnie tekst będzie zamieszczony w „Kulturze”, prosząc o załatwienie jakiegoś kontaktu lub wyjaśnienie czegoś. Mogę powiedzieć, że współpracowałem z „Kulturą” do ostatniego okresu przed śmiercią Redaktora. Zakaz publikacji jakichkolwiek moich tekstów w PRL-u trwał – z krótką przerwą w okresie festiwalu „Solidarności” – do końca lat osiemdziesiątych. Ostatni ślad cenzury – już na podstawie wywalczonej przez „Solidarność” ustawy z 1981 roku – jest w wydanej przez poznańskie Wydawnictwo SAWW mojej powieści *Przechowalnia*.

– Od śmierci Giedroycia minęło już sporo lat, sama „Kultura” nie istnieje. Jak z perspektywy tych lat i doświadczeń oceniasz rolę *Maisons-Laffitte* i Redaktora w budowaniu polskiej myśli niepodległościowej w kulturze?

– Myślę, że ta rola była ogromna. Przede wszystkim we wpajaniu polskiej inteligencji, jej elitom politycznym, konieczności budowania w wolnej Polsce modelu jagiellońskiego – kraju otwartego, tolerancyjnego, związanego z Zachodem. Przyjaznego sąsiadom – przede wszystkim Litwie i Ukrainie, których niepodległość gwarantuje również niepodległość Polski. Dziś widzimy – w czasie wojny w Ukrainie – jak ważne było to przesłanie.

Ale też ogromna była rola *Maisons-Laffitte* w promowaniu polskiej kultury na Zachodzie, w czasach, gdy istniała żelazna kurtyna. Zwłaszcza w dziedzinie literatury. Sam mogę to powiedzieć, jako autor *Cudownej meliny*, książki zakazanej w PRL-u, a wydanej i ocalonej przez Instytut Jerzego Giedroycia. Myślę, że to samo powiedziałoby wielu autorów „zakazanych” – tych z najwyższej półki polskiej literatury: Miłosz, Gombrowicz, Hłasko, Józef Mackiewicz. Oni wszyscy, skazani na niebyt we własnym kraju, zostali ocaleni przez „Kulturę”.

Rozmawiał Krzysztof Lisowski